

Z dr. Łukaszem Garbalem kustoszem w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie rozmawia Przemysław Prekiel

Dlaczego zdecydował się Pan na biografię Jana Józefa Lipskiego? Co w jego życiorysie wydało się Panu fascynujące?

Wiele lat temu Piotr Kłoczowski, kurator Instytutu Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, powiedział mi i mojej koleżance, Dorocie Szczerbie, że warto opisać spuściznę Jana Józefa Lipskiego. To miało być jedno z naszych wielu standardowych zadań: zajmujemy się ocalaniem i przywracaniem pamięci o polskiej kulturze, czyli rekonstrukcją fundamentów naszej tożsamości – bo przecież nasza przeszłość rzutuje na nasz dzień dzisiejszy, na nasze spojrzenie na świat, obawy, nadzieje, nawet na to, jak brzmią nam słowa takie jak „patriotyzm” czy „socjalizm”. Dlatego pamięć jest taka ważna, stąd odpowiedzialność historyków.
Lipski był człowiekiem – poza wąskim kręgiem warszawskiej inteligencji – niepamiętanym; to był spokojny, koncyliacyjny człowiek, który preferował rozmowę zamiast wiecu, wolał porozumienie zamiast konfliktu. Jego idee – krytyka gospodarczego liberalizmu (wolał określenie „leseferyzm”, by odróżnić to od „liberalizmu” w sensie wolności politycznej), wezwanie do współdziałania w interesie dobra wspólnego (zamiast indywidualistycznego egoizmu), samoorganizacja społeczna – co możemy określić, po prostu, mianem demokratycznego socjalizmu – wydawały się przestarzałe po zachłyśnięciu się konsumpcjonizmem lat dziewięćdziesiątych, kiedy mogliśmy dotknąć foliowych „reklamówek”, wziąć do ręki prawdziwe puszki z piwem – a nie tylko patrzeć na zużyte puszki w charakterze wystawy na szafie.
Dopiero ostatnie lata pokazały, jak bardzo zabrakło w naszej rzeczywistości po 1989 roku prawdziwej, a nie tylko tak się nazywającej socjaldemokracji, która patrzyłaby także na wykluczonych, będąc buforem dla przekształceń rynkowych – hamując tam, gdzie to konieczne, sprawiając, że ludzie nie czuliby się porzuceni i nie dawaliby tak łatwo uwieść się populistom odwołującym się często do najniższych emocji, do ksenofobii, do nieustannego szukania wroga.

Lipski przypomniałby, że nie wystarczy nazwać się socjaldemokratą – trzeba nim być. Socjaldemokratą, który patrzy na świat jako na miejsce, w którym nie mamy nieustannej rywalizacji i wrogości jednostek czy narodów – ale są możliwości współpracy dla wspólnego dobra. Współpraca zamiast konfliktu egoizmów. Byłby socjaldemokratą przypominającym głęboki sens słowa „solidarność".

Ale o tej niezwykłej perspektywie nie wiedziałem wówczas, gdy Piotr Kłoczowski, mój szef, syn dawnego dowódcy Lipskiego w powstaniu warszawskim, Jerzego Kłoczowskiego ps. „Piotruś" (późniejszego historyka z KUL-u, twórcy Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej) nawiązał kontakt z panią Marią Lipską, wdową po Janie Józefie. Pani Maria zgodziła się, byśmy z Dorotą Szczerbą obejrzeli i opisali, bez wprowadzania zmian w zachowanym porządku, dokumenty, rękopisy i maszynopisy, które pieczołowicie przechowywała (nazwaliśmy to później po prostu „archiwum domowe Jana Józefa Lipskiego").

Z tych papierów wyłonił się fascynujący, pogodny, przyjazny człowiek. Zacząłem rozmawiać z tymi, którzy go znali. Spośród kilkuset ludzi niemal wszyscy, chociaż wielu z nich nie chciałoby dziś znaleźć się razem w jednym pokoju, o Lipskim mówili w samych superlatywach. To człowiek zapamiętany jako ktoś, kto łączył, kto naprawdę rozmawiał (bo on naprawdę rozmawiał, to znaczy słuchał i starał się zrozumieć) dla dobra wspólnego – nie patrząc na sondaże.

Wydało mi się to niesamowite; bardzo chciałbym, żeby ktoś taki rządził – ktoś, kto wprost mówił, że partia polityczna nie jest po to, by koniecznie wygrywać wybory, ale po to, by zaproponować ludziom kompleksową wizję przyszłości bez tworzenia jakiegoś wroga (który spajałby tę wizję, by się nie rozpadła). Myślę, że byłaby to przyszłość bez szukania wrogów wewnętrznych czy zewnętrznych, ze społeczeństwem, które nie zależy od partii jednej czy drugiej, a samo się organizuje, za pośrednictwem samorządów, tworzonych przez siebie, zarówno terytorialnych, jak i branżowych (Lipski np. wiele mówił o samorządzie kulturalnym). To zresztą była zasadniczo oficjalnie przyjęty program „Solidarności" z roku 1981! (Dzisiaj trzeba o tym przypominać...) Byłaby to przyszłość związana jak najmocniej z Europą, patrząca nie tylko na elektorat zwycięskich partii, ale biorąca pod uwagę głos mniejszości – dobro wspólne, nie partyjne. I mam nadzieję, że Lipski, jego biografia wpłynie na młodych polityków, którzy szukają nowych rozwiązań. On swoim życiem pokazuje i wzory, i gotowe szablony zachowań, a przede wszystkim formację intelektualną, tradycyjną formację polskiego socjalisty.

To, że ukazała się biografia Jana Józefa, to także zasługa wielu osób, którzy chcieli go przypomnieć: pomysł, by taka biografia ukazała się właśnie w Instytucie Pamięci Narodowej, by IPN przypominał dobre wzory z naszej historii, nie koncentrując się na „czarnej wizji" naszej przeszłości – jako pierwszy bodajże miał Kazimierz Wóycicki, kandydując na stanowisko prezesa IPN w roku 2011. Po wygranej w konkursie Łukasza Kamińskiego jego doradca, Antoni Dudek, ten pomysł utrzymał – i to właśnie profesor Dudek zaproponował mi wydanie biografii Lipskiego w IPN. Dzięki życzliwości wielu ludzi w Instytucie, poczynając od ówczesnego dyrektora Biura Edukacji (wówczas) Publicznej (dziś Narodowej...), Andrzeja Zawistowskiego, dzięki będącej wówczas wiceprezesem IPN siostry Jana Józefa, Marii Dmochowskiej, dzięki mrówczej pracy archiwistów IPN – ta książka mogła się ukazać właśnie w tak dużym rozmiarze. To biografia tak legendarna, że musiałem mocno zagłębić się w licznych „wykopaliskach" archiwalnych i bibliotecznych – by nie konserwować legendy, a pokazać fakty, wraz z kontekstem. Pisząc, że 1 sierpnia 1944 r. na Mokotowie świeciło Słońce – daję odnośnik do przypisu. A taka szczegółowość wymagała bardzo wiele pracy od redaktorów. Chciałem w tym miejscu bardzo podziękować obu redaktorkom, Elżbiecie Chlebowskiej-Regulskiej i Annie

Równy, dzięki którym książka jest lepsza, niż na początku.

W jakim domu dorastał Jan Józef? To był dom warszawskiej inteligencji?

Jan Józef Lipski dorastał „na socjalnym pograniczu” – był to dom warszawskiej inteligencji, ale okupiony ciężkim kredytem i pracą ojca na trzech etatach (ojciec był dyrektorem szkoły zawodowej), na Ochocie, niedaleko mieszkania ówczesnego premiera, ale jednocześnie niedaleko „pałatek”, siedlisk bezrobotnych. Lipski chodził do szkoły publicznej, co nie było w tych środowiskach normą – wpływ na niego wywarł przykład dyrektora, działacza Polskiej Partii Socjalistycznej i obecność w szkole dzieci bezrobotnych (dzielił się z nimi własnym śniadaniem). Ważną rolę w jego edukacji odegrały książki, był także harcerzem. Co ciekawe, to była rodzina dość konserwatywna obyczajowo, a jednocześnie postępowa społecznie.

Już przed wojną kształtował się w nim socjalistyczny światopogląd? Do dziś wielu zastanawia się, od kiedy zaangażował się w ruch socjalistyczny

Z perspektywy badacza biografii życiorys Lipskiego jest niezwykle konsekwentny – to „mainstream” wykonywał różne dziwne zygzaki, on całe życie był demokratycznym socjalistą, zaangażowanym spółdzielcą, „robił swoje”. Pewne nieporozumienia mogły zaistnieć z powodu kradzieży słów, zawłaszczania pewnych pojęć przez ideologów, na co Lipski wielokrotnie zwracał uwagę, szczególnie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy próbował odbudować najstarszą polską partię, czyli Polską Partię Socjalistyczną: władza pod koniec lat czterdziestych zawłaszczyła słowo „demokracja”, podobnie, jak później słowo „socjalizm”, i od Marca 1968 r. przez Jaruzelskiego do dziś, słowo „patriotyzm”. Z tego powodu np. Jacek Kuroń określał Lipskiego i jego środowisko mianem „liberałów”; nie byli to jednak nigdy liberałowie w sensie gospodarczym, a w sensie filozoficznym, z myśli Poppera i neopozytywistów – w kontraście do „totalistów” wszelkiego rodzaju, czy to komunistów, czy nacjonalistów (tak często w PRL współpracujących z władzą, jak Piasecki).
Trudno oczywiście dowodzić, że Lipski socjalistą był już w kołysce (kiedy wybuchła wojna, miał 13 lat...), jednak niewątpliwie już wówczas miał wrażliwość społeczną (wzór dyrektora szkoły z Raszyńskiej, działacza PPS, Stanisława Dobranieckiego, który w czasie wojny będzie pracował w konspiracji cywilnej – w delegaturze rządu na szczeblu lokalnym, oraz walczył w powstaniu warszawskim w batalionie „Kiliński” AK) oraz niechęć do nacjonalistów (którzy pobili jego starszą siostrę, broniącą przed nimi swoje żydowskie koleżanki i kolegów). W czasie wojny rozważał jednak wstąpienie do konspiracji związanej z narodowcami (co wynikało z początkowych trudności w nawiązaniu kontaktu z Armią Krajową, tj. z tą jedyną organizacją konspiracyjną, która nie była partyjna, a podlegała rządowi na wychodźstwie – NSZ, podobnie jak Gwardia/Armia Ludowa, była bojówkami partyjnymi, to wojsko partyjne). W tym oddziale Armii Krajowej, w którym służył, w Pułku „Baszta”, stykał się z różnymi kręgami ideowymi, ale założycielem „Baszty” był Ludwik Berger, bojowiec PPS. Po wojnie Lipski współtworzył Spółdzielnię Wydawniczą „Wiedza”, związaną z PPS – i wchłoniętą później przez PPR, podobnie, jak PPS (Lipski nie związał się ani z „Książką i Wiedzą”, ani z PZPR).
Sama zasada działania Lipskiego – tworzenie autonomicznych instytucji życia społecznego, samoorganizacja (co teoretycznie nakreśli później Jacek Kuroń), była z zasady socjaldemokratyczna. Stąd wzięło się i jego zaangażowanie w przejęcie przez opozycyjne środowiska Klubu Krzywego Koła, i zaangażowanie w loży „Kopernik”, i kasa samopomocy

rodzinom represjonowanych z powodów politycznych, i Komitet Obrony Robotników (szli wówczas razem z Janem Olszewskim) – i próba reaktywacji od 1987 r., przy powoływaniu się na prawo nominalnie obowiązujące w PRL, Polskiej Partii Socjalistycznej. (Ta próba zresztą, przy bliższym spojrzeniu, jest wyjątkowo ciekawa, i nadal pozostaje ciekawym tematem badań).

Jana Józefa znamy bardziej z okresu opozycji demokratycznej. Ale jego pierwszym świadectwem dojrzałości było powstanie warszawskie. Jak się w nim znalazł, gdzie walczył?

Jak już wspominałem, Lipski trafił do Pułku „Baszta" Armii Krajowej. Poszedł tam, chcąc robić coś więcej, niż w Szarych Szeregach – coś, co bagatelizował jako „mazanie po murach", a co przecież także groziło karą śmierci. (Dzisiaj szokuje mnie, jak wielu ludzi nie pamięta wagi znaku Polski Walczącej, nosząc ten znak niemalże na bieliźnie. Ludzie oddawali za to życie – ten znak powinien budzić więcej szacunku, a nie legitymizować czyjeś poglądy polityczne). Lipski był nieco młodszym kolegą tych, którzy znamy jako bohaterów Kamieni na szaniec – i nie jest to metafora, tylko rzeczywistość, jego zastępowym był Andrzej Makólski, ps. „Mały Jędrek"... Nie mogąc się doczekać poważnego szkolenia, szukał „wejścia" do podziemnej armii, do Armii Krajowej, która była, jak powtarzam, jedyną formacją partyzancką państwa polskiego (tylko AK była formalnie częścią Wojska Polskiego, walczącego u boku zachodnich aliantów). Nie było to łatwe, ale w końcu się udało – a cała sprawa, którą przedstawiam w książce, pokazuje w małej skali wielkie poczucie obywatelskie ówczesnego polskiego społeczeństwa (Lipski nie wiedział np., że w konspiracji jest jego ojciec – traktowano to poważnie).
Jan Józef miał 18 lat, kiedy wybuchło powstanie. Powiedzieć, że nie był jego entuzjastą, to mało – on był przekonany o klęsce. Młodszej siostrze, Marii, późniejszej Dmochowskiej, powiedział, że „to będzie rzeź niewiniątek". Kiedy zapytała, dlaczego jednak idzie, odpowiedział, że taki jest rozkaz... To było bardzo ważne – ten niezwykły szacunek społeczny dla Państwa Podziemnego.
Walczył na Mokotowie, wraz z całą „Basztą". Cała sytuacja pokazuje kompletną improwizację ze strony osób podejmujących decyzję o wybuchu powstania – „Baszta" nosiła taką nazwę, bo pierwotnie miała chronić sztab, czyli dowództwo AK w Warszawie („BAtalion SZTAbowy", później została rozbudowana do pułku) – stąd miała działać na Mokotowie, gdzie, na Pilickiej, miała być kwatera sztabu. Tuż przed wybuchem powstania przeniesiono jednak kwaterę w inne miejsce (co miało swoje konsekwencje), ale „Basztę" pozostawiono na Mokotowie. Mimo wiedzy, że potencjalnym polem bitwy dla „Baszty" jest Mokotów – przez wiele miesięcy nie zrobiono nic, lub bardzo niewiele, by poznać ten teren... A co robiono wcześniej? Ćwiczenia wojskowe – poza jednymi – ograniczały się do musztry i bardziej harcerskich, niż wojskowych, zadań. Młodzi chłopcy ryzykowali życiem, wożąc drewniane repliki broni, po to, by wykorzystać je podczas musztry... Najbliższy kolega Lipskiego zginął pierwszego dnia powstania, i to nie podczas ataku, a podczas marszu do celu, do szkoły rękodzielniczej na rogu Kazimierzowskiej i Narbutta. Inny – więziony później w latach stalinowskich – Adam Stanowski, działacz katolicki, zapalił się od butelki zapalającej, która była jego jedyną bronią. Przerażające. Niesłychana odwaga i odpowiedzialność żołnierzy, i brak wyobraźni wielu spośród decydentów. Przy czym żołnierze, jak Lipski, sami przyjmowali swój los – gorsza była sytuacja ludności cywilnej, której nikt nie pytał, a która poniosła największe ofiary.
Lipski musiał zabijać w obronie swoich kolegów. Spędził najstraszniejsze chwile życia w kanałach, podczas ewakuacji Mokotowa. Wyszedł z kanałów już po masakrze na Dworkowej – i

zobaczył wrogów, którzy potraktowali go normalnie, jak człowieka.
Powstanie było jednym z doświadczeń, które Lipskiego uformowały. Odtąd bardzo ostrzegał przed tworzeniem mitów, przed dudnieniem w bęben rzekomego „patriotyzmu", przed podejmowaniem pochopnych działań, kolejnych szarż. Obawiał się kolejnych katastrof. Denerwowało go pokazywanie jako wzoru walczących małych dzieci (a pisał to jeszcze przed wybudowaniem pomnika Małego Powstańca); w jego ocenie dorośli powinni zrobić wszystko, by dzieci nie musiały walczyć (napisał piękny tekst na marginesie podręcznika historii swojego syna, gdzie jako wzór pokazywano obrońców Głogowa przed cesarzem – nie mówiąc już w tym podręczniku, że Krzywousty zagroził obrońcom, że ich ukrzyżuje, jeśli się poddadzą).
To powstanie sprawiło, że Lipski starał się powstrzymywać działania opozycji, które mogły być piękne, ale przynieść niepotrzebne ofiary – wolał działanie długofalowe, przede wszystkim tworzenie postaw i przejmowanie instytucji publicznych w PRL przez ludzi nastawionych niezależnie.

Po wojnie nie poszedł do lasu, choć nie zgadzał się na sowietyzację. Jaką przyjął postawę?

Lipski, o czym dzisiaj często nie pamiętamy, postąpił zgodnie z zaleceniami rządu na wychodźstwie, który wzywał do pokojowego, nie zbrojnego oporu. (Przypomnijmy, że rotmistrz Pilecki nie walczył zbrojnie z władzą!). Po naradzie z kolegami doszli do wniosku, że trzeba odbudowywać kraj, że zbyt wielu ludzi zginęło; nie była to łatwa decyzja, Lipski wskazywał to zresztą jako „diabelską alternatywę" – bo ktoś, kto walczył z władzą, jednocześnie walczył z ludźmi, którzy chcieli po prostu żyć, odbudować kraj, ktoś taki stawiał się w pozycji „szkodnika"; a jednocześnie ci, którzy po prostu chcieli odbudować kraj – stawali się, nieświadomie, współbudowniczymi Polski Ludowej, na co, jako na poparcie, mogła powoływać się komunistyczna władza. Szczegółowo opisuję to w książce – myślę, że to bardzo ważna lektura dla nas dzisiaj, poczynając od tego, że zmiany społeczne wprowadzone przez komunistów były powszechnie oczekiwane i postulowane w czasie wojny przez niemal wszystkie siły polityczne, łącznie z narodowcami! I reforma rolna, i przejmowanie niektórych przedsiębiorstw przez państwo – było w jakiejś części oczekiwane i wpisane nawet w program Polskiego Państwa Podziemnego. Komuniści jednak wykorzystali to do własnych celów – to „upaństwowienie" stało się „zawłaszczeniem" przez partię rządzącą, która traktowała wszystko w państwie jako własny folwark. Lipski, którego ideałem była nie własność „państwowa", nadzorowana przez urzędników, a własność spółdzielcza – nazywał tych ludzi „właścicielami Polski Ludowej"...
Lipski zachował niezależność. Myślę, że za dużo mówimy dziś o odwadze rozumianej jako walka z bronią w ręku – a za mało po prostu o odwadze cywilnej, by robić to, co trzeba. Razem ze znajomymi ze studiów odbywali półkonspiracyjne spotkania dyskusyjne na tematy przede wszystkim filozoficzne i naukowe. Jak się okazuje, Urząd Bezpieczeństwa bardzo się tego obawiał – i patrząc na późniejsze tworzenie opozycji demokratycznej w latach siedemdziesiątych słusznie się obawiał, bo było to miejsce swobodnej dyskusji, gdzie spotykali się ludzie z różnych środowisk: z kręgów niezależnej lewicy, bliscy socjaldemokracji, jak Lipski, ale także zaangażowani katolicy. Te spotkania – ze strony Lipskiego wymagające przełamywania nieufności w stosunku do Kościoła katolickiego, który postrzegał, na skutek związania przed wojną wielu hierarchów z prawicą, jako stale stojący przed pokusą sojuszu „z tronem" – stały się jednym z fundamentów budowania po latach opozycji.
Wraz ze swoim środowiskiem „przejął" Klub Krzywego Koła – o czym też za chwilę

porozmawiamy.
Co ciekawe, Lipski, mimo tego, że nigdy nie był związany z PRL-owską władzą, nigdy nie był związany z PZPR czy jakąś jego przybudówką – nie wykluczał osób, które były nawet bardzo zaangażowane w tworzenie komunizmu. Długo był nieufny, ale w końcu przekonał się do intencji np. Romana Zimanda. Lepsi byli „nawróceni", dysydenci, którzy, jak Zimand chcieli posprzątać to, co „nasrali" (jak przypomina profesor Michał Głowiński powiedzenie Zimanda) - lepsi byli ci ideowi, często „przedwojenni" komuniści, którzy przyjmowali konsekwencje swojej postawy – od konformistów, którzy po prostu rwali się do władzy, jak wieloletni dawny przyjaciel Lipskiego, Janusz Wilhelmi, który awansował aż do kierowania ministerstwem kultury. Ta „zamiana miejsc" była aż symboliczna. Lipski nie moralizował – był żywym przykładem, dlatego, jak wspomina Jacek Kuroń, sprawił, że z dysydenta, chcącego zmieniać system, stał się opozycjonistą – z komunisty został socjaldemokratą.
Popatrzmy na rozmowę, jaką Jacek Trznadel przeprowadził z Lipskim w Hańbie domowej... (sięgajmy tu jednak do pierwodruku, albo do wydania tego wywiadu w wyborze pism politycznych wydanym przez „Krytykę Polityczną", z przypisami). Lipski nie gromił, pokazywał głębokie korzenie urzeczenia stalinizmem. Myślę, że to jest zawsze aktualne ostrzeżenie, także i dla nas, byśmy zbyt łatwo nie oceniali, a patrzyli bardziej na siebie.

Mało znanym choć bardzo istotnym aspektem jego życiorysu jest jego praca jako krytyka literackiego. Jak wyglądała jego praca zawodowa?

Lipski, pracując w Państwowym Instytucie Wydawniczym, starał się doprowadzić do wydawania dobrej literatury, która padała łupem cenzury: Gombrowicza, Witkacego, Miłosza, oraz nieznanych jeszcze wówczas szerzej Białoszewskiego czy Herberta. To także było oporem wobec totalitarnego państwa – i także wymagało odwagi cywilnej.
Za swoje zaangażowanie opozycyjne – za napisanie książki o zbieżności ideologii ONR-„Falangi" z ideologią faszystowską Lipski został z pracy w PIW-ie wyrzucony. Przywódca „Falangi", a wówczas przywódca związanego z władzą PRL „Paxu", stanowiącego jedno z PRL-owskich imperiów gospodarczych (m.in. dzięki monopolowi na płyn do mycia naczyń „Ludwik") – miał długie ręce (chociaż nie znalazłem dowodów na bezpośrednie inspirowanie przez niego usunięcia Lipskiego z PIW-u) – wpływy myślenia nacjonalistycznego w aparacie władzy PRL były silne, Miłosz miał rację, pisząc „jest ONR-u spadkobiercą Partia".
Lubił literaturę – to nie była tylko jego zawód, ale i pasja. Czytał książki, był świetnym, współ-czulnym recenzentem (wolał towarzyszyć pisarzowi w rozwoju, niż podcinać mu skrzydła). Część jego recenzji ukazała się kilka lat temu w Bibliotece „Więzi". Niestety wiele z recenzji i jego prac naukowych – w ramach represji – zatrzymywała cenzura.
Także w wyniku represji politycznych zablokowano na kilka lat habilitację Lipskiego, co sprawiło mu wiele problemów w pracy (od początku lat sześćdziesiątych pracował w Instytucie Badań Literackich PAN). Po raz kolejny wyrzucono go z pracy za jego wsparcie, jakie udzielił strajkującym robotnikom „Ursusa" po wprowadzeniu stanu wojennego – kiedy przyjechał do fabryki, by robotnicy nie poczuli się porzuceni, by namówić ich do kontynuowania protestu, ale w pokojowy sposób, by nie próbowali walczyć z czołgami. Wstrząsające relacje z tych wydarzeń obficie podaję w książce.

Po odwilży październikowej angażuje się w Klub Krzywego Koła. Odgrywa w nim istotną rolę?

Klub Krzywego Koła był klubem dyskusyjnym założonym przez człowieka związanego z Urzędem Bezpieczeństwa i Informacją Wojskową – Lipski wraz ze swoim środowiskiem potrafił w demokratycznych wyborach przejąć władzę w tym klubie i uczynić z niego jedną z „wysp" swobodnej dyskusji. Bez Lipskiego, który organizował spotkania dyskusyjne, Klub by nie przetrwał. Było to miejsce jedyne, po rozpędzeniu „Po Prostu" (z którym Lipski także był związany), formułujące często opinie opozycyjne wobec władzy. Władze chciały przejąć Klub, sugerując „kompromis", będący w gruncie rzeczy zakneblowaniem dyskusji – Lipski i jego środowisko woleli w tej sytuacji, by władze były zmuszone Klub oficjalnie zamknąć. Lepsze było uniemożliwienie kradzieży, niż zgoda na martwe trwanie samej skorupy – kiedy pozostaje nazwa, marka, a całość byłaby przejęta przez władze.

Mniej więcej w tym samym czasie przystępuje do loży masońskiej Kopernik. Wolnomularstwo jest owiane tajemnicą. Wiemy z czyjej inicjatywy do niej wstąpił i jaką odgrywał rolę?

...i tu już sama chronologia jest odpowiedzią – Lipski zgadza się na działalność w wolnomularstwie po rozwiązaniu Klubu Krzywego Koła, wcześniej przeciągał rozmowy. Lipski w mojej ocenie działalność w loży traktował jako po prostu opozycyjną. Zgadzam się tu z Janem Olszewskim. Jan Józef wiele razy zaznaczał, że opozycjoniści związani z Kościołem, mimo represji, mogli liczyć na wsparcie wielkiej, ponadnarodowej instytucji – a niezależna lewica nie miała takiego oparcia. Mogła nim być loża „Kopernik", mająca wsparcie polskiej loży w Paryżu. I sądzę, że to właśnie dlatego Lipski zgodził się na propozycję profesora Jana Wolskiego...

Dziś wiemy, że Jan Józef był jednym z dysponentów funduszu PPS. Po wojnie tym funduszem dysponował Tadeusz Szturm de Sztrem. Skąd się wziął Jan Józef?

Myślę, że z zaufania, jakie wzbudził. Z bezkompromisowości – wobec siebie, nie wobec innych. Szturm de Sztrema ujął m.in. swoimi polemikami literackimi z próbami zawłaszczania dziedzictwa Witkacego przez kogoś związanego z dawnym kręgiem „Wiadomości Literackich" (określanych przez Gombrowicza mianem „Młodziaków").

On niemal zawsze pilnował opozycyjnych pieniędzy. Wzbudzał zaufanie?

Był „łącznikiem" między wieloma środowiskami – i nikt nigdy nie miał do niego żadnych zastrzeżeń. W przypadku jakiegokolwiek braku, co mogło się zdarzyć w warunkach konspiracyjnych, mimo trudnych warunków materialnych (brak pracy) – dokładał z własnych pieniędzy. Jego uczciwość nie jest legendarna – ale mogłaby być przysłowiowa, bo była prawdziwa. Był jednym z fundamentów, dzięki którym opozycja mogła urosnąć z tych kilkunastu – kilkudziesięciu ludzi, którymi była w latach sześćdziesiątych. Był kimś stałym, był constans, był po prostu Janem Józefem.
Świetnie pisała o tym Anka Kowalska, polecam jej książkę wydaną przez „Więź".

Po wydarzeniach marcowych 1968 roku mówił, że zabrakło zaufania robotników do inteligencji. To zaufanie zostanie odbudowane w czerwcu 1976 roku?

Lipski rok 1970 postrzegał jako początek końca narodu, więzi Polaków ze sobą nawzajem.

Obawiał się, że władza zdołała zatomizować społeczeństwo na grupy i jednostki zainteresowane wyłącznie własnym interesem, konsumpcją, mięsem, „małym fiatem", wczasami w Bułgarii, i tym, by był spokój. Ta obawa przed końcem solidarności międzyludzkiej – myślę, że też może nam coś o dzisiejszych czasach powiedzieć.
Szczegółowo pokazuję, jak nie doszło do wsparcia przez warstwy inteligencji protestów robotniczych, to była także kwestia nieporozumień, kwestia złamania inteligencji przez antysemicką i antyinteligencką nagonkę sprzed dwóch lat, z 1968 r. – Lipski postawił wówczas na pracę u podstaw, spotkania z młodzieżą, budowanie więzi międzyludzkich, przełamywanie uprzedzeń m.in. między dawnymi „komandosami" i środowiskiem „Czarnej Jedynki". I z tego przecież zrodzi się KOR...
A przełamywanie nieufności nie było łatwe – właśnie przez to, o czym nie pamiętamy, jak bardzo PRL był państwem w pewnym sensie feudalnym, jak bardzo władza separowała inteligentów od robotników, jak nastawiała przeciwko sobie te warstwy (to sięgało doświadczeń Lipskiego z Października 1956 r.).

Jego rola w Komitecie Obrony Robotników była ogromna. Jak dało połączyć się dwa żywioły: Kuronia i Macierewicza?

To chyba najbardziej medialny dowód pokazujący wagę Lipskiego – potrafił przez kilka lat utrzymać w jednym miejscu Jacka Kuronia i Antoniego Macierewicza... To bardzo szeroki problem, który trudno uprościć, żeby nie zafałszować – staram się go dokładnie opisać w książce. Powiem tylko, że Lipski protestował przeciw retoryce Macierewicza, oskarżającej tych, którzy nie byli z nim związani, o próbę współpracy z władzą, podkreślał też rolę zarówno Macierewicza, jak Kuronia, w tworzeniu KOR-u. (Ze skromności o sobie nie wspominał, a bez niego KOR-u niemal na pewno by nie było, ze względu na to, że był świetnym łącznikiem-mediatorem między różnymi środowiskami...)

Ogromna rolę w KOR odgrywali „Starsi Państwo" czyli nestorzy PPS?

I – właśnie, ze względu na „Starszych Państwa", których to przede wszystkim Lipski, jak sądzę, do KOR-u przyciągnął. A pomysł był taki, by zasłużone osoby w starszym wieku – których władzy niezręcznie byłoby represjonować – chroniły samą swoją obecności w KOR-ze tych młodych opozycjonistów, którzy fizycznie pomagali robotnikom. (Co ciekawe, sam Lipski, będący wówczas w wieku „średnim" – i poważnie chory na serce – był w gronie „młodych", aktywnie działających, wsadzanych często do aresztu na 48 godzin...).
„Starsi Państwo" byli jednak także poddawani represjom, jak choćby Wacław Zawadzki (Józef Lewin), zwany z racji podobieństwa do bohatera Milne'a „Kubusiem Puchatkiem" – telefonowano do niego np. z insynuacjami, że „sprzedajecie Polskę"; spokojnie odpowiadał „cóż, kiedy nikt nie chce kupić"...
W ogóle wątek „sprzedawania Polski" i „donoszenia na Polskę za granicę" – długo wstrzymywał opór społeczny. Trzeba było tę barierę psychologiczną wobec kontaktów z zagranicą przełamywać. Dzisiaj mam poczucie deja vu.

Interesującym wątkiem Pana książki jest próba reaktywowania w kraju PPS. To jednak szło dość opornie i z dużymi problemami?

To jedno z miejsc biografii Lipskiego, który domaga się rozwinięcia, i mam nadzieję, że historycy podejmą wątki, który czasem mogłem tylko zarysować, bo wydaje mi się, że pewne instynktowne odpowiedzi na pytanie o niepowodzenie próby odbudowy niezależnej, prawdziwej lewicy w Polsce niekoniecznie wyczerpują temat, a czasem tworzą mit, zamiast przedstawienia przyczyn. Na pewno, po latach obrzydzania ludziom tych słów, trudne było odbudowywanie nie tylko socjalistycznej, ale i partii; na pewno były wyjątkowe represje, jakie spotykały działaczy PPS – nawet po Okrągłym Stole. To prawda, ale jednocześnie inicjatywa ta miała wielu zwolenników wśród działaczy „Solidarności", odwoływała się bezpośrednio do ideałów związku z roku 1981, podważała mit założycielski PRL (o rzekomym „zjednoczeniu" PPR i PPS), i przez pewien czas była bardzo dynamiczna...

Jakim socjalistą był Jan Józef Lipski? Te idee zdążył jeszcze propagować jako senator RP?

Lipski został wybrany w wolnych wyborach do Senatu – jednak okoliczności tej kampanii wyborczej były bardzo smutne, zastanawiam się nawet, czy w tej kampanii nie widać korzeni dzisiejszego podziału. Był bardzo atakowany ze strony nastawionej nacjonalistycznie. I ten koniec jego życia był smutny: pomagał w ludzkich, życiowych sprawach także osobom spoza swojego okręgu wyborczego (jest wiele teczek wskazujących na jego interwencje), starał się doprowadzić do odrodzenia PPS, co się nie udawało, obawiał się rządów prawicy w Polsce, ponieważ, jak powiedział, „boję się prawicy, bo kto wie czy nie obudzę się w kraju, gdzie żeby żyć, trzeba być Polakiem-katolikiem". Przy czym nie był wrogo nastawiony wobec chrześcijaństwa – przeciwnie, wiele razy publicznie mówił o konieczności uwzględniania jego zasad, obawiał się tylko wykorzystania katolicyzmu jako narzędzia politycznego, dyskryminującego inaczej myślących. To szczególnie widać w dwóch, na szczęście zachowanych, bo stenografowanych, dyskusjach w Senacie – w polemice wokół pomysłu dodania krzyża do godła państwa oraz w dyskusji wobec aborcji.
W pierwszym przypadku mówił, że „jeżeli parlament polski postanowiłby, że orzeł ten będzie mieć krzyż nad koroną, to nie czułbym się specjalnie urażony, mimo że nie jestem człowiekiem wierzącym, po prostu dlatego, że dla mnie krzyż jest symbolem pewnych wartości etycznych, które znajdują się u podstaw naszej cywilizacji, tej, do której należę i chciałbym należeć" – ale proponował uchylić w ogóle rozpatrywanie tego pomysłu z powodu szacunku wobec inaczej myślących: „Przypuszczam, że wielu dojdzie do wniosku, że jeśli nie są ludźmi wierzącymi, to ten krzyż jakoś ich z czegoś wyłącza, nie mówiąc o innowiercach, którzy w Polsce też są, też są obywatelami, obywatelami niejednokrotnie wielkich zasług"... Ta postawa wrażliwości wobec poglądów innych, nie patrząca tylko na to, czy ma się na sali większość, czy nie – jest tak bardzo potrzebna... (Lipski zwracał też uwagę na zapędy retoryczne przeciwników, przypominał, że godło polskie w tej formie było tradycyjnym herbem II RP, godłem, pod którym umierali żołnierze w czasie II wojny światowej pod Monte Cassino – ale to nie trafiało, emocje były ponad logiką i ponad faktami).
Drugi przypadek jest charakterystycznym przykładem wykorzystania katolicyzmu w celach politycznych – szczegółowa analiza przebiegu dyskusji i głosowań w Senacie pokazuje, że fundamentaliści, żądając karania za aborcję lekarza, doprowadzili do zmiany nastrojów w Senacie, początkowo sprzyjającym zakazowi aborcji, jednak bez karania kogokolwiek. Polecam te fragmenty książki, z uwidocznioną rolą „hamulca" Trybunału Konstytucyjnego wobec zapędów władzy wykonawczej (zablokował on późniejsze próby fundamentalistów z innej strony

– z SLD, by zlikwidować wypracowany kompromis). To bardzo pouczające o wadze niezależności władzy sądowniczej.
Lipski gorzko zauważał niezgodność słów i czynów niektórych ze swoich kolegów parlamentarzystów, kiedy w perspektywie likwidacji domów pomocy społecznej mówił w Senacie, że „w tej sali witano nie tak dawno prymasa Kościoła katolickiego w Polsce i zauważam, że niejednokrotnie ci sami, którzy pobożnie klękali przed arcypasterzem gnieźnieńsko-warszawskim, gotowi są pozbawić możności życia starców i chorych".
Co może być paradoksalne, to Lipski jako senator zwracał uwagę na niebezpieczeństwa wykorzystywania mechanizmów wolnego rynku – polemizując choćby z senatorem Bojarskim, związanym później z Radiem „Maryja" i wiceprzewodniczącym Ligi Polskich Rodzin, który pytał Lipskiego, skąd jego nieufność do propozycji umożliwiających wykup akcji przez kapitał zagraniczny bezpośrednio lub pośrednio... To Lipski naprawdę ostrzegał przed mechanizmami dającymi możliwość wykupu danej firmy przez kapitał zagraniczny jedynie w celu zlikwidowania konkurenta – w przeciwieństwie do wielu polityków, którzy później wiele o tym mówili, ale u początków nie widzieli tego problemu. Lipski, postrzegany jako idealista i naiwniak – widział. Widział i postulował rozwiązania. Był jednak coraz bardziej marginalizowany.

Czy jest coś, czego praca nad biografią Jana Józefa Lipskiego Pana nauczyła?

Badacz przeszłości, czy to historyk, czy literaturoznawca, powinien pokazać prawdziwą przeszłość, czyli nie tylko fakty – co jest oczywiście podstawowe i fundamentalne, ale na pokazaniu faktów praca historyka się nie kończy, bo powinien przedstawić kontekst: nie jest najważniejsze, ilu Krzyżaków było konno, a ilu pieszo, ale dlaczego znaleźli się pod Grunwaldem – dlaczego ludzie podejmują takie, a nie inne decyzje, co wpływa na ich motywację: historyk to człowiek, który powinien starać się zrozumieć motywacje.
Dlatego praca nad biografią Jana Józefa pokazała mi, jak ważnym i niedocenianym źródłem są teksty literackie – one świetnie pokazują przede wszystkim ludzkie obawy i ludzkie nadzieje w danym czasie. Tego sfałszować się nie da, a jest to w wielu przypadkach ważny drogowskaz do kwerend dla historyka. Np. kiedy Lipski w diariuszu pisanym w latach tuż po stalinizmie (jak wtedy mawiano „po beriowszczyznie") sygnalizuje, jak ważna dla jego środowiska w zachowaniu dystansu wobec komunistów była lektura... Ferdydurke (czytając fragment o wtłaczaniu uczniom w głowy „że Słowacki wielkim poetą był" nabierali dystansu do tworzenia mitu nieomylnego Stalina, który, jak pisał jeden z poetów, „płynąc wysiewa / pszenicę w tundrach, / zalesia stepy, / stawia ogrody"). O tej wadze groteski Gombrowicza jako szczepionki na totalitaryzm pisał w Pięknych dwudziestoletnich Marek Hłasko (czego czasem nie bierze się na poważnie). I tak literatura potwierdza zapis diariusza, pisanego na bieżąco, ma więc charakter świadectwa, nieomal archeologicznego, zakonserwowanego przez lata w domowym archiwum jak w popiołach Pompejów...
Podobnie, kiedy Lipski w latach siedemdziesiątych próbował zahamować jeden z protestów młodzieży, wynikało to z jego obawy przed bezpośrednim wchłonięciem Polski przez Sowietów. Dzisiaj wydawać się to może – z wygodnego fotela – nieprawdopodobne: a jednak obawa ta była wyczuwalna, widać to choćby w tle Małej apokalipsy Tadeusza Konwickiego, gdzie ludzie mówią już mieszanym językiem polsko-rosyjskim – a propozycje Todora Żiwkowa, by włączyć Bułgarię do ZSSR, były jak najbardziej realne.
Nie lekceważmy więc literatury jako świadectwa historycznego – ona często pokazuje nie tylko emocje i nastroje, ale pod przykrywką fikcji potrafi pokazywać i fakty (jak choćby w noweli Buty

Jana Józefa Szczepańskiego – mordowanie jeńców przez partyzantów Narodowych Sił Zbrojnych). Trzeba tylko być wobec tego źródła – jak każdego innego – krytycznym, starać się je zweryfikować, a jeśli jest jedynym znanym, nie traktować jako prawdy objawionej. Historyk jest takim „archeologiem pamięci" – jeśli ma pozostać naukowcem, a nie publicystą czy politykiem, ma obowiązek rekonstrukcji całościowej. Pokazanie Pompejów w ich wersji tylko pięknej, bez niewolników, byłoby zafałszowaniem, czyli po prostu kłamstwem – pokazywanie polskiej pomocy Żydom bez pokazywania kontekstu, czyli masowej obojętności (i próba zrozumienia tego, nie zamykania oczu na rzeczywistość) – także jest zafałszowaniem, czyli po prostu kłamstwem. (Takim samym zafałszowaniem jest oczywiście także generalizowanie w drugą stronę, obecnie jednak pierwsze fałszowanie rzeczywistości jest powszechniejsze).
Drugą ważną sprawą, o której dowiedziałem się w toku pracy, jest to, że chociaż, jak pisał Bułhakow, „papiery nie płoną" – to jednak same „papiery", bez kontekstu, potrafią kłamać. I nie mam tu na myśli tylko fałszowania przeszłości przez wyciąganie dokumentów z dawnych archiwów tajnej policji – chociaż trzeba wspomnieć, że dokumenty policyjne ze swojej natury zawsze bardziej koncentrują się na gorszej stronie, wypaczając rzeczywistość: tam wszelkie motywacje, nawet szlachetne, przedstawiane są jako interesowne – gdyby Ewangelię pisać według raportów SB, nie byłaby do Dobra Nowina, ale jakieś „teczki"... byłaby to wypaczona, nieprawdziwa wersja! Dlatego nie można absolutyzować „teczek", czy, szerzej, jednego typu źródeł. Ale nawet pomijając dokumenty wytworzone przez SB – „papiery", dokumenty bez kontekstu nie są prawdą, bo prawdą nie są tak rozumiane „fakty": one wymagają opisania w kontekście, nie są prawdą same. W państwach autorytarnych częstą samoobroną była ironia, groteska, i aluzja – często dzisiaj nieczytelna; badając historię musimy być wyczuleni na szukanie intencji, podobnie, jak w rozmowie z Chińczykami, nie można skoncentrować się na „pierwszej warstwie" komunikatu, trzeba spojrzeć, czy się za tym nie kryje coś więcej. Stąd np. jedną z form omijania cenzury prasowej w PRL bywało pozostawianie nazwiska twórcy skreślonego przez cenzurę w indeksie – lub w spisie rzeczy: często to nie błąd korektorski, ale świadoma, aktywna obrona przed cenzurą; Lipski próbował przemycać w tytułach swoich tekstów cytaty ze szczególnie tępionego przez PRL-owską cenzurę Czesława Miłosza, i często się to udawało, wymagało jednak konsekwencji i odwagi cywilnej - a ludzie często mówili cytatami bez podawania źródeł (w tym przypadku był to ważny dla formacji Lipskiego Traktat moralny Miłosza).
Takim najciekawszym przypadkiem, kiedy sam czysty tekst, „papier", kłamałby, pozostawiony bez kontekstu, bez wyjaśnienia, jest sytuacja, kiedy Lipski dzień po śmierci Stalina ma w swoim zakładzie pracy przedstawić ostatnie wydarzenia, i odpowiednio je skomentować. Nazywało się to „prasówką". Oczywiście nie mógł pominąć śmierci Stalina – jak jednak to skomentować, by nie zostać kolaborantem, choćby tylko „taktycznym", ale tak, by nie znaleźć się na Koszykowej (tam, gdzie dzisiaj Ministerstwo Sprawiedliwości, mieścił się Urząd Bezpieczeństwa)?... Lipski nie chciał jednocześnie uciekać w jakąś „dyplomatyczną grypę", nie chciał udawać choroby, by ktoś inny miał ten sam problem. Otóż rozwiązał to bardzo dowcipnie i inteligentnie: przesadnie opisywał Stalina, co niemal dla wszystkich miało wydźwięk ironiczny; co więcej, wspomniał nawet aluzyjnie o Katyniu! Mówił bowiem o „zasługach towarzysza Stalina dla naszych żołnierzy, którzy znaleźli się na gościnnej ziemi radzieckiej"... Naprawdę wówczas wszyscy to zrozumieli; przepraszam – niemal wszyscy. Jedna osoba potraktowała to na poważnie – zatwardziała komunistka bez poczucia humoru. Najbardziej trzeba się bać ludzi pozbawionych poczucia humoru...

Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiał ***Przemysław Prekiel***